

Janusz i Maria w roku 2059

Jak będziemy wyglądać za sto lat? W jakim kierunku zmierzać będą zmiany fizyczne i morfologiczne? Odpowiedzi na to pytanie udziela prof. dr Włodzimierz Missiuro, wybitny fizjolog, dyrektor Instytutu Naukowego Kultury Fizycznej w Warszawie. Przeczytajcie, rzecz ciekawa.

Janusz i Maria (a może Kleofas i Kunegunda, bo wiem nigdy nie wiadomo, jakie imiona będą modne), para dwudziestolatków, będą — zdaniem prof. Missiuro — wyglądać w r. 2059 następująco: — Powinny to być jednostki smukłe, wysokie. Obecnie średnia wzrostu w Polsce wynosi dla mężczyzn około 181 cm, dla kobiet — 158 cm. Sądzę, że Janusz osiągnie 175 cm, Maria zaś — 165 cm wzrostu.

— Czy nasza para to ludzie urodziwi?

— Pewne cechy fizyczne i morfologiczne współczesnych dziewcząt (szczególnie wyrażone występujące w USA) wskazuja, że oddalają się one coraz bardziej od klasycznych kanonów piękna Wenus z Milo, zbliżając się do budowy chłopców. Na całym świecie zaznacza się skłonność do budowy wydłużonej, wiotkiej, którą określamy jako leptosomatyczną. Oznacza to przewagę szerokości barków nad szerokością bioder, wydłużenie kończyn dolnych, tendencję do kształtowania się u dziewcząt małych, kulistych piersi, zmniejszenie stóp i dłoni.

— Czy nie ma podstaw do obaw, że zwiększające się niebezpieczeństwo abiotycznych wpływów naszej cywilizacji, której postęp, nie pod każdym względem odpowiada naturze ludzkiej, może wpłynąć na degenerację naszej pary?

— Istnieją takie teorie. Wzrost urbanizacji, przyspieszenie tempa życia, wypieranie pracy mięśni przez czynnik mechaniczny, postępujący coraz szybciej rozwój środków komunikacji — nasuwają obawy o osłabienie zdolności ruchowej człowieka, jego hartu i odporności nerwowej. Nie mogą ich uspokoić nawet triumfy higieny i medycyny.

— Jakże istnieją możliwości zachowania tężyzny i obrony organizmu człowieka przed schyłkiem?

— Brakujący współudział wysiłku mięśniowego w pracy — nasza para musi zastąpić racjonalną mobilizacją mięśni w ćwiczeniach sportowych. Mięśnie są nie tylko narzędziami ruchu ale odgrywają również rolę ważnych narządów czucia. Doskonalenie funkcji mózgu, których wymagać będą od nich warunki egzystencji (wzrost kwalifikacji zawodowych, wyższy poziom intelektualny społeczeństwa itp.) zależy przecież w dużym stopniu od wydolności mięśni. Warunki współczesnej diety, człowieka, niebezpiecznie skąpo angażują funkcję ruchu wobec bezustannej mobilizacji i napięcia, w jakim znajduje się jego układ nerwowy: mózg. Janusz i Maria obroną się przed obniżeniem potencjału biologicznego dzięki: 1) organicznej zdolności dostosowywania się do nowych warunków, która jest osobliwą cechą człowieka, 2) osiągnięciom nauki i techniki w dziedzinie fizyki, chemii, fizyko-chemii i elektroniki, 3) uprawianiu ćwiczeń fizycznych i sportu.

— Co się jednak dzieć będzie, gdy Janusz i Maria wyznają się w jednej ze swych wypraw międzyplanetarnych poza strefę przyciągania Ziemi?

— Istnieją rodzaje wysiłku i bodźców, które nie niszczą organizmu, lecz przeciwnie — wzmacniają go. Swą wyjątkowość dużą zdolność przystosowawczą do zmieniających się warunków świata zewnętrznego, człowiek zawdzięcza niezwyczajnej elastyczności funkcji mózgu oraz bogactwu narządów czuciowych, czyli tzw. receptorów, reagujących bardzo selektywnie na najmniejsze nawet zmiany środowiska. Gdy

np. znajdujemy się zimą w górach, szpik kostny reaguje na zmianę ciśnienia barometrycznego natychmiastowym zwiększeniem ilości czerwonych ciałek krwi; skóra z kolei silnym pigmentem broni się przed odbłaskami śniegu. Niewykluczone jest, że poza treningiem (tj. usprawnieniem istniejących już narządów czuciowych i czynności wyrównawczych) nieznane bodźce kosmosu, do której wchodzi się człowiek, spowodują zmiany, a być może stopniowe ukształtowanie się nowych, lub doskonalenie szatańskich (zapomnianych przez nas, bądź jeszcze nie znanych) narządów czucia. Rzecz jasna, że o zdolności adaptacyjnej organizmów Janusza i Marii w warunkach podróży międzyplanetarnej — przy działaniu coraz bardziej zawrotnych szybkości i zmian sił oraz kierunków ciążenia — nie będą decydowały wyłącznie te powolne i ewolucyjne organizowane zmiany właściwości biologicznych człowieka. Z pomocą przyjdzie nauka i technika.

— Wspomniał Pan o sporcie: ile wróży Pan Januszowi „na setkę”?

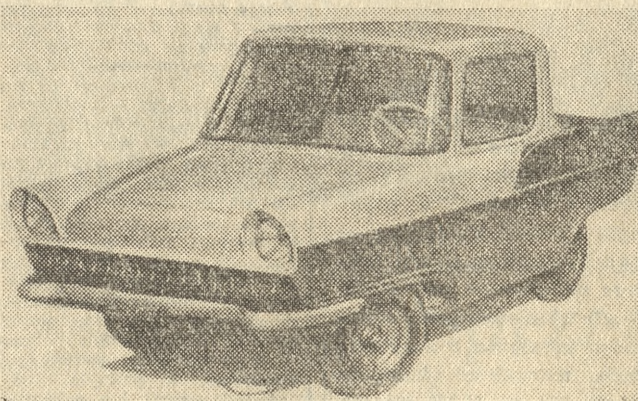
— Nie jestem wróżbitą. Jakikolwiek czas osiągnie Janusz w biegu na 100 metrów, nie będzie on wyłącznie wynikiem narastania potencjalnych sił i zdolności ruchowej człowieka. Praktyka wykazuje, że nowe rekordy zbliżające się do granic (zresztą nam nieznanych) możliwości fizycznych człowie-

ka, są osiągane w niemalym stopniu dzięki postępowi techniki. Nowy, różnicowany, doskonalszy sprzęt, coraz dalej idące przystosowanie terenu ćwiczebnego do nowych form ćwiczeń sportowych — wpływa na wyniki. Któż wie, czy Janusz lub Maria nie będą startować np. na bieżni o sztucznej powierzchni elastycznej? O jednym jestem tylko przekonany: poranna gimnastyka będzie dla nich tak utrwalonym nawykiem jak dla nas np. mycie.

— Jakże sporty będą uprawiać?

— Chyba formy ruchu, mobilizujące całe umięśnienie ciała: bieg, skok, rzut, pływanie. Tendencja: prawdopodobnie dążność do dalszego zwiększenia szybkości. Obok tych — szybownictwo, spadochroniarstwo, sport helikopterowy — staną się chyba elementarnymi umiejętnościami człowieka, bez których — w epoce podróży międzyplanetarnych — pozostałby nieprzystosowany do życia. Sądzę również, że najczęściej będą uprawiali turystykę. Zwykła wędrowka metodą pradziadów tzn. pieszo, będzie naturalną samoobroną ich organizmu przed wynaturzeniem, ochroną przed abiotycznym wpływem spotęgowanej cywilizacji technicznej — wreszcie naturalnym zaspokojeniem organicznej tęsknoty człowieka do przyrody.

Rozmawiali:
Stefan Henel
i Wacław Mrowiński



Studenti moskiewskiej szkoły technicznej im. Baumana zbudowali samochód, który wzbudził zainteresowanie fachowców. Silnik motocyklowy 350 cm, o mocy 11,5 KM, rozwija szybkość 80 km na godz. Karoseria wykonana z plastiku, wzmocnionego włókłem szklanym waży 400 kg. O nowościach w dziedzinie samochodowej czytaj na stronie trzeciej.

ZOFIA
CISZAK

Miejszkanie

Z tego mieszkania wychodziło się rano z westchnieniem ulgi i trząsaniem drzwiami. Na ulicy nabrało się szerokiego oddechu i spoglądało w niebo, które było daleko. Wracaliśmy jak najpóźniej, wybijając preteksty, żeby być poza nim. Przyszedło się późnym popołudniem czy wieczorem z uczuciem odrazy i wielkiego zmęczenia i wkraczało się znowu w orbitę spraw małych, głupich i złych.

W mieszkaniu tym dzień zaczynał się od gniewnych spojrzeń a kończył kłatwą. Nie mówiliśmy sobie dzień dobry. Rzadko uśmiechaliśmy się do siebie. Mięśnie naszych twarzy uformowały się w podłużne bruzdy, i były dni, a nawet całe tygodnie, kiedy nie mogliśmy ułożyć ich inaczej. Tylko w przededniu uroczystych świąt zaczynały się nienaturalne próby wzajemnego zbliżenia. Rozpraszaliśmy fałdy twarzy przed lustrem w kształt sztucznego uśmiechu i dzi-

wiliśmy się, jak mało podatnym materiałem jest nasza twarz. Uśmiech tkwił na niej jak doczepiona do więziennego pasiaka kolorowa chusteczka. Nie zstał się z twarzą, nie wpływał z jej wnętrza, nie zdołał jej, nie odprężał. Nie był jest treścią. Z tym nieprawdziwym uśmiechem zaczynaliśmy sobie gorliwie życzyć Wesołych Świąt i szczęścia w Nowym Roku, choć nikt z nas w to szczęście nie wierzył.

Uczuciem, które łączyło nas na codzień, była w-

jemna niechęć. Czuliśmy nieprzejdłą urazę za to, że istniejemy obok siebie. W dniach szczególnych śpięć wybuchła nienawiść. Chęć natychmiastowego odwetu za urojone i rzeczywiste krzywdy chwylała za gardło. W każdym z pięciu pokoi dużego mieszkania dojrzewało zarzewie gniewu.

Nim nasze mieszkanie skupiło w sobie wszystkie uczucia nienawiści, miłości, rozpaczy i nadziei, nim nabrało osobowości, było miejscem całkowicie materialnym, składającym się z podłóg, sufitów i ścian. Z tego bezosobowego okresu pozostała tylko ekskwalifikacja, wdowa.

Mieszkała w pokoju od podwórza. Przypominał on gęsty, ciemny las, w którym centymetr przy centymetrze wyrastały kontury starego, martwego drzewa i gdzie trudno było się poruszać. Z czasem zalagł się tam odór starzyny, stęchlizny i kurzu.

Mimo upadku w mieszkanie nowej hierarchii, wdowa nie zatraciła poczucia włas-

ności wobec mieszkania. Akcentowała je w rozmaity sposób. Wstawiała zawsze pierwsza gdzieś koło szóstej rano, energicznie otwierała przeraźliwie skrzyżnięte drzwi swego pokoju i długim korytarzem człapała z nočnikiem w ręku do łazienki. To człapanie miało swój głęboki, utajony sens. Brało nas w swą władzę. Wobec tego władczego odgłosu byliśmy bezsilni. Człapanie było mi straszką, przerażeniem, gdyż załamywało nas. Ranny wdowy przemarsz odbywał się w dziwnym stroju. Fryzurę stylizowała chyba specjalnie przed lustrem, żeby przerazić śmiałków. Włosy zakręcone w niezliczone cienkie warkoczki, sterczały w dzikim bezładzie, tworząc coś w rodzaju aureoli. Spojrzenie było martwe i puste.

Gdy wracała z miasta, manewrowała tak, aby spotkać na schodach dozorczynię, albo kogoś ze starych lokatorów z górnych lub dolnych pięter. Rozmowy z

(Dokończenie na str. 2)

Sprzedawałem miejsca w niebie

HISTORIA (PRAWDZIWA!) OSZUSTA

Ze Stefanem Kłosem zetknął mnie los przypadkowo. Przed wojną był on alumnem małego seminarium duchownego w jednym z kresowych miast. Uciekł stamtąd w poszukiwaniu przyciemnienia. Inteligentny i energiczny, rozmyślał się w oszustwie, które doprowadził do perfekcji. Jego życie było pasmem wielkich kłamstw, przeplatanych odsiadkami w różnych kryminalach. Ostrów, Rawicz, Wronki, Z. Góra, Lublin — to tylko niektóre z jego licznych przystanków życiowych.

Obecnie pan Stefan jest już starszym człowiekiem i pracuje uczciwie na kawałek chleba — toteż nie wymieniam jego prawdziwego nazwiska. Do wspomnień powraca niechętnie. Czasami tylko przy butelce dobrego wina opowiada o swoich przeżyciach. Ma głębokie przekonanie, że tylko życiowy pech przeszkodził mu w zrobieniu kariery. Mówi o tym tak:

— Cóż ja na to poradzę, panie? Ludzie lubią być oszukiwani. Byle inteligentnie, nie na chłama. Ja właśnie podjąłem się tej niewdzięcznej roli.

Sięgnął po nowego papierosa. Korzystając z przerwy, spytałem:

— Od jak dawna trudnił się pan tym zawodem?

MIEJSCA W NIEBIE WEDŁUG PLANU

— Kupa czasu, drogi panie. Już przed wojną chodziłem po wsiach, przebrany za zakonnika i sprzedawałem miejsca w niebie. Nie rozumie pan? Wybierałem najbardziej głuche wsie, leżące daleko od traktu i plebanii. Zrobiłem sobie pismo z Rzymu — niby od papieża. Na pergaminie z lakowymi pieczęciami. Miałem też lewe zaświadczenie ze starostwa, które pokazywałem soltysom. Wieczorem odprawiałem dla wsi rekolekcje. Mówiłem, że Duch Święty objawił się przeorowi naszego zakonu i powiedział, że ludzie za których będziemy się modlili, zostaną na pewno zbawieni. Duch św. zostawił nam nawet plan nieba. Był on podobny zresztą do planu miejsc w cyrku. I tu i tam panowała zasada ta sama, im bliżej Boga, tym drożej.

(Dokończenie na str. 3)

(dokończenie ze str. 1)

nimi kończyła przy otwar-
tych drzwiach mieszkanie
— tonem trochę cierpieni-
czym, trochę protekcyjnym,
ale zawsze pełnym
poczucia wyższości wobec
dopustu losu. Dawało to jej
chyba trochę zadowolenia.
Potem zamykała drzwi i
długo i głośno brzęczała
kluczkami, idąc przez ciem-
ny korytarz do drzwi swe-
go pokoju, który otwierała
powoli i hałaśliwie. Wcho-
dziła i zostawiała przez
chwilę drzwi otwarte, szu-
kając na ścianie kontaktu,
drzwi cofały się wolno piz-
cząc przenikliwie. Zatrza-
skiwała je i przekręcała
szybko klucz w zamku,
jakby obawiała się o swe
życie.

Dawny pokój pomocy do-
mowej mieścił się przy ła-
zieni i ubikacji, oddziel-
ny od nich cienką ścianą.
W ciągu dwunastu lat za-
ludniały go studentki. Naj-
dłuższą mieszkali trzy sio-
stry.

Były wysokie, dobrze zbu-
dowane, miały wesołe,
śmiałe spojrzenia. Ojciec
ich mieszkał na prowincji.
Przez przykrozetowy apar-
tament przewijała się mło-
dzież. Byli głośni, wybu-
chali gromkim śmiechem,
któremu dziwiło się nasze
mieszkanie. Ponieważ nie
mogli pomieścić się w po-
koju, część rozmów odby-
wała się na korytarzu.

Solidarność sióstr była
wzorowa. Po całotygodnio-
wej wrzawie następował
cichy weekend. Popołudnie
sobotnie należało do naj-
młodziej, pół niedzieli do
średniej, drugie pół do naj-
starszej. Wtedy było cicho.
Wizyty u najmłodszej były
pełne żartów i niewinnych
rozmów. Wizyty u najstar-
szej przenikały tajone na-
pięcie, a rozmowy rwały
się w strzępy. Słyszeliśmy
każde słowo. Kiedyś wios-
ną u najstarszej nie usły-
szeliśmy rozmowy, poza pa-
ru szeptami. Trwało to
dwie godziny, potem nastą-
piło trzęsienie drzwiami.
Przez okno zobaczyliśmy,
że jej chłopak, ponury dry-
blas, rwie przed siebie. Nie
zobaczyliśmy jej do wie-
czora. Po trzech miesią-
cach, nagle, pewnego dnia,

rozległo się więcej dzwon-
ków niż zwykle i zaczęło
wchodzić mnóstwo ludzi, w
różnym wieku i w prowinc-
jonalnych płaszczach, uro-
czystych, z kwiatami. Oka-
zało się, że to ślub i że
panna młoda była już w
czwartym miesiącu. Zamie-
szkali u jego rodziców na
sąsiedniej ulicy, a wkrótce
widywalimy ich z wóz-
kiem. Dwie pozostałe sio-
stry pokoczyły studia i
zamieniły się na mieszka-
nie z kimś z innej dziel-
nicy.

Na ich miejsce dostali-
my z przydziału rodzinę ko-
lejarską z trójkiem dzieci.
Procesowaliśmy się z nimi
przez rok, w czasie gdy już
mieszkali, dowodząc, że po-
kój ten potrzebny jest dla
kogoś z nas. Oni jednak

dobrze karmić. Poza tym
najczęściej i bez sprzeciwu
szorowała korytarz i łazien-
kę w soboty.

Właśnie łazienka była
najczęstszym źródłem spo-
rów. Nasza emerytka zają-
ła jeden kąt, w którym
trzymała dwie tajemnicze
skrzynie, pełne pustych
stołków i starych garnków.
Stała tam jeszcze czarna
szafa, która nie zmieściła
się w pokoju i mnóstwo in-
nych rupieci. Z wanny nikt
nie korzystał. Piec kapie-
lowy popsuty był od wielu
lat, a nikt z nas nie chciał
płacić za rzecz, która była
wspólna, nie jego własna i
którą ktoś inny mógł każ-
dą chwilę popsuć. Więk-
 szość nie kąpała się wcale,
zadowolając się fragmen-
tarycznym myciem w mied-

kami. Zaczęły się procesy,
chodziliśmy jako świadko-
wie. Mieliśmy z tym dużo
zajęcia, wszystko inne w
naszym życiu zeszło na dru-
gi plan. Inżynier który jak
się okazało — wcale nie
był inżynierem, powyrzu-
cał na korytarz meble sta-
rego. Wkrótce urodziło się
niemowlę i bardzo płakało
po nocach.

Matka tego niemowlęcia
miała oczy duże i stale prze-
straszane. Ich pożycie mał-
żeńskie odbywało się nie
tyle na naszych oczach, co
na naszych uszach.

Był to wówczas jedyny
pokój w naszym mieszka-
niu, w którym działo się
to, co niektórzy nazywają
miłością. Kobieta nienawi-
dziła nas, gdyż wstydziła
się swoich nocy. Wiedzie-
liśmy, że jej miłość skoń-
czyła się w naszym mie-
szkaniu i że to wszystko
jest dla niej koszmarem.
Ale nie mogliśmy nic na to
poradzić.

W piątym pokoju mie-
szkałem ja z ojcem. Byłem
w tym mieszkaniu naj-
pierw dzieckiem, a potem
szybko i bez żadnego prze-
jęcia — człowiekiem dojrze-
łym. Ojciec był profes-
orem i lubił pracować i czy-
tać w domu. Nastawiał ra-
dio, żeby zagłuszyć dźwię-
ki płynące zewsząd. Nie
mógł pracować nocą, gdy
było cicho i gdy wszyscy
spali.

Dziś nie mieszkam już
w tamtym mieszkaniu.
Mam nowe, zwykłe, które
jest tylko ścianami, sufi-
tem i podłogą, które nie
płacze gorzkimi łzami zło-
ści i nienawiści i z którym
nie mnie nie łączy.

Ale pamiętam, że gdy
ostatni raz przekraczałem
znienawidzony próg stare-
go mieszkania, serce mia-
łem ciężkie a oczy wilgot-
ne. Zrozumiałem że coś,
co — jak mi się zdawało —
minęło na zawsze, wbrew
woli utkwiło we mnie i sta-
ło się częścią samego mnie,
tak jak część mej istoty
została tam, w starym mie-
szkaniu.

Opowiadanie to otrzy-
mało III nagrodę w
konkursie literackim
„Nowego Świata”.



9 lipca na scenie Teatru Kameralnego w Warszawie
odbyła się prapremiera sztuki Jarosława Iwaszkiewicza
— „Wesele Pana Balzaca”. Sztukę reżyserował — Wła-
dysław Hańcza. Scenografię opracowała Krystyna Ho-
recka. Wykonawcami głównych ról są: Lech Madaliński
(Honore Balzac) i Janina Romanówna (Ewelina z Rze-
wuskich — Hańska).

Na zdjęciu: Madaliński i Konrad Morawski (Anton —
kucharz). CAF



WIARA a WIEDZA

Motto: Jest jedyna forma
nieśmiertelności, o którą war-
to zabiegać: ludzka życzli-
wość.

L. Hirsfeld

Na półkach księgarskich u-
kazała się ostatnio książ-
ka miodego publicysty i reli-
gjoznawcy, Janusza Kuczyń-
skiego — która nosi wymowny
tytuł „Chrześcijaństwo i sens
życia”.

Wśród wielu zagadnień o charak-
terze ogólnoludzkim, konflikt:
rozum — wiara, problem: nauka
a religia — od dawna budzą żywe
zainteresowanie. W sporze, a ra-
czej w światopoglądowej dyskusji,
Kuczyński zajmuje pozycję jak
najbardziej obiektywną. Potrafi
ocenić pozytywną rolę chrześcijań-
stwa w ciągu dziejów. „Bez chrze-
ścijaństwa nie ma kultury europej-
skiej i ogólnoludzkiej” — powiada
w pewnym miejscu. A potem za-
skakująca teza: „katolicyzm od-
grywał często rolę czynnika in-
spirującego w negatywnym sen-
sie: był po prostu przedmiotem
ataku — i tym samym w jakimś
stopniu przyczyniał się do powsta-
wania szeregu arcydzieł filozofii i
literatury”. Z drugiej strony jed-
nak stwierdza: „chrześcijaństwo
jako bastion feudalizmu, jako ideo-
logiczny obrońca klas panujących
odegrało w historii rolę godną naj-
wyższej uwagi, analizy i pamięci
— choć nie może to być pamięć
życiowa”.

Autor zresztą nie zajmuje się
społecznymi ani politycznymi spra-
wami Kościoła; stosunek wiary do
wiedzy i odwrotnie — oto co głów-
nie jest treścią jego książki. Ca-
łość stanowi jak gdyby dialog, bar-
dzo interesujący, w którym dy-
skutowane są tak zasadnicze kwe-
stie, jak różne typy poznania w
ramach filozofii tomistycznej, sto-
sunek człowieka do nieskończono-
ści, sprawa istnienia Boga w świe-
tle zasad logiki, w świetle moral-
nego poczucia ludzi, spory światop-
oglądowe związane z różnymi te-
zami współczesnej astrofizyki i a-
stronomii. W dialogu tym przyto-

* Janusz Kuczyński, „Chrze-
ścijaństwo i sens życia” —
„Wiedza Powszechna”, r. 1959,
str. 286, cena zł 12,—.

czono są głosy wybitnych intelek-
tualistów-katolików i pisarzy, po-
glądy wielkich uczonych.

Autor na przykładzie Alberta
Einsteina, który był wierzącym —
spokojnie i rzeczowo rozpatruje
to zagadnienie. Rozróżnia logiczne
i emocjonalne źródła wiary, anali-
zuje podłoże znanej wśród uczo-
nych postawy, której wyrazem
jest „chęć oderwania się od rze-
czywistości”. Na przykładzie Marii
Curie-Skłodowskiej pokazana jest
z kolei postawa uczonego-niewie-
rzącego.

Wreszcie — odpowiedź na naj-
bardziej palące, aktualne pytanie:
jakie czynniki powodują zanik
wiary i jakie są jej współczesne
źródła — na Zachodzie i u nas.
Autor konsekwentnie broni tezy,
że jedyną, realną nadzieją katoli-
cyzmu jest afirmacja wartości
współczesnego świata. „Nie sądzę
— twierdzi — by nowy świat niósł
zagładę wszelkiej religijności, czy
tym bardziej wszelkich wartości
kultury. Tu właśnie wylania się
jedna z perspektyw katolicyzmu:
może on być tylko „francuski”,
dynamiczny, intelektualny i pogię-
biany, postępowy i nowoczesny —
lub go w ogóle nie będzie”.

Książka nie jest łatwa. Rozpatru-
je wiele problemów trudnych, nie
unikła ściśle naukowej termino-
logii — wymaga od czytelnika
sporego przygotowania.

St. O.

W PIENINACH

W dwóch tomach*) (prze-
szło 800 stron) obejmuje
autor najważniejsze wydarzenia
Pienin i okolicy: romans
Kazimierza Wielkiego z Este-
rą, spór Władysława Jagiełły
z duchowieństwem, bunt Spy-
tka z Melsztyna, rządy staro-
stów, powstanie Napierskiego
i czasy współczesne.

Odnosi się wrażenie, że wśród
tych bohaterów przewija się sam
autor, dyskutuje z nimi, a właści-
wie sam ze sobą. Stąd brak cha-
rakterystycznych cech postaci.
Stąd dialogi pisane tym samym
językiem co komentarz odautorski,
zbyt literackim, nie stosowanym
praktycznie w życiu. Stąd pewna
sztuczność formy i przepoetyzo-
wanie. Za to wspaniałe są opisy
przyrody górskiej, ale niezbyt o-
szczędnie stosowane, co w efek-
cie może nużyć czytelnika. Mimo
to książka zasługuje na specjalną
uwagę. Po pierwsze — odbiega
schematem od innych powieści, po
drugie — obejmuje kawał historii
i uczy patrzeć na piękne Pieniny.

J. P.

*) Jan Wiktor: „Miłość wśród
płonących wzgórz”. LSW, 1958
— 2 tomy. Cena 56 zł.

Sprawozdanie

Opowiadanie Liliany Cagary pt.
„Akacje”, które drukowaliśmy w
ubiegłym tygodniu, otrzymało w
konkursie literackim „Nowego
Świata” jedną z trzech nagród,
a nie wyróżnienie, jak błędnie po-
daliliśmy. Za pomyłkę przepraszamy.
(red.)

„Rad jest dla mnie za drogi...”

Niewiele zapewne wie-
dzi o walce, jaką mu-
siała stoczyć z samą so-
bą Maria, zanim zdecydowała
się na małżeństwo z Piotrem.
Tłumaczyła mu, że jej miej-
sce jest w kraju, że krajowi
ma służyć zdobyta przez nią
wiedza. Zdecydowała się na
małżeństwo i pozostanie we
Francji, gdy Piotr oświadczył,
że... pojedzie również do War-
szawy, gdzie utrzymywać się
będzie z lekcji francuskiej.
Wielkiego naukowca nie moż-
na było oderwać od bazy nau-
kowej. W ten sposób spłotło
się życie dwojga badaczy —
ich wielka miłość nadała
szczególną treść wspólnej pra-
cy naukowej.

Przy kołocie swego pierwszego
dziecka Maria obmyślała temat
pracy doktorskiej. Był nielaty-
wny — nikt jeszcze nie wówczas nie
wiedział o odkrytych właśnie przez
młodego uczonego Becquerda pro-
mieniach wydzielanych przez sole
uranu. Ich działanie postanowiła
zbadać młoda fizyczka.

Problem był — z naukowe-
go punktu widzenia — wyjąt-
kowo pasjonujący — toteż Piotr
porzucił swą dotychczasową
pracę i wziął udział w bada-
niach żony. Wspólnymi siłami
doszli do stwierdzenia, że w
badanej przez nich rudzie-
pechblendzie znajdują się śla-
dy dwóch nowych pierwiast-
ków. O odkryciu jednego z
nich można było donieść w
lipcu 1898. — Nazwijmy go
Polonem — zaproponowała Ma-
ria.

Jakże żałowała potem, że tej
nazwy nie zatrzymała dla póź-
niejszego, znacznie większego
odkrycia...

W końcu 1898 r. w zeszycie
Marii, obok zapisów o pierw-
szych zębach malej córki,
znalazła się notatka: „...w tym
nowym związku promienio-
twórczym znajduje się nowy
pierwiastek, który proponuje-
my nazwać radem... Promienio-
twórczość radu musi być ogro-
mna...”

W roku 1902, po 45 miesia-
cach pracy, w najtrudniej-

szych warunkach, udało się
małżonkom Curie otrzymać
1/10 grama czystej soli radu o
ciężarze atomowym 226. Nau-
kowcy stwierdzili ze zdumie-
niem, że: w fizyce — zmienił
on podstawowe zasady uzna-
wane dotychczas za niewzruszo-
ne; w chemii — rodził hipote-
zy co do źródła energii w zja-
wiskach radioaktywnych; w
geologii był kluczem do pozna-
nia zjawisk dotychczas nie wy-
jaśnionych; w medycynie —
otwierał możliwości leczenia
raka...

Dwie otwierały się drogi przed
parą naukowców: albo opubliko-
wać odkrycie, jako dowiadzenie
naukowe, albo zachować w ta-
jemnicy i zdobyć bogactwo. Z
inicjatywy Marii wyniki oraz pro-

W dwudziestą piątą rocznicę śmierci Marii Skłodowskiej-Curie

ces otrzymywania radu zostały o-
publikowane. Cena grama radu się
gała wprawdzie 750 tys. franków,
ale odkrywcy pracowali nadal w
starej szopie, utrzymując się tak
samo, jak przedtem z wykładów.
Pierwszy gram radu przeznaczyła
Maria na cele naukowe. I dopiero
Nagroda Nobla przyznana w
1903 r. Henrykowi Becquerd i mał-
żonkom Curie za odkrycie zjawisk
radioaktywnych przyniosła Piotro-
wi katedrę fizyki na Sorbonie.

I właśnie wówczas, gdy mał-
żonkowie - naukowcy mogli
wreszcie całkowicie poświęcić
się pracy naukowej — wy-
padek uliczny pozbawił życia Pio-
tra Curie...

W historii Sorbony nie było
wypadku, aby katedrę profes-
orską powierzono kobiecie.
Tradycję tę przełamano po
śmierci Piotra, w 1906 r., po-
wierając jego stanowisko Ma-

rii. Pierwszy jej wykład stał
się sensacją — sala Sorbony
była wypełniona po brzegi.
„Gdy rozważymy postępy fizy-
ki w ciągu ostatnich lat dzie-
sięciu, zdumiewa nas zmiana,
jaka zaszła w naszych poję-
ciach o elektryczności i mate-
rii”... Na tym zdaniu przerwał
wykład Piotr Curie — tym
zdaniem zaczęła swoje wykła-
dy Maria.

W 1911 r., już jako zwyczajny
profesor Sorbony Maria Curie-Skło-
dowska otrzymuje po raz drugi
Nagrodę Nobla za prace chemiczne
(był to jedyny wypadek, że tę na-
godę przyznano dwukrotnie tej
samej osobie).

O kraju myślała bezustannie, ży-
wo reagowała na wydarzenia 1905.
Wspierała polski ruch rewolucyj-
ny. Uczyla języka polskiego Piotra
i dzieci. Ale powrócić nie mogła.
W Paryżu pod jej kierunkiem po-
wstawał Instytut Radowy, który
był uwięzieniem wysiłków życia
— jej i Piotra. Pozostając przy In-
stytucie, Maria wytypywała kie-
rowników dla projektowanego la-
boratorium do badania radioaktyw-
ności w Warszawie. Mielł nimi zo-
stać jej asystenci — Polacy: Da-
nysz i Wertenstein.

Już po odzyskaniu przez Pol-
skę niepodległości dziennikar-
ka amerykańska p. Meloney
zadawała Marii pytanie: co chci-
aby mieć dla siebie samej na
własność? „Ach, jeden gram
radu dla badań. Niestety, jest
dla mnie za drogi” — odpowie-
działa odkrywczyni radu. Sta-
raniem p. Meloney, społeczeń-
stwo amerykańskie ofiarowało
Marii ów gram radu. Potem,
po raz drugi złożono na jej
ręce taki dar — dla Polski. 28
maja 1932 r. Maria Skłodow-
ska-Curie otwierała Instytut
Radowy w Warszawie...

Stało się tak, że właśnie rad za-
bił swą odkrywczynię. Zmarła 5
lipca 1934 r. wskutek zbyt długie-
go obcowania z ciałami radio-
aktywnymi. Była to śmierć żołnie-
rza na posterunku. W rok po
śmierci ukazała się praca Marii
Skłodowskiej-Curie „O radioaktyw-
ności”, którą zadrżyła ukończyć
już podczas choroby.

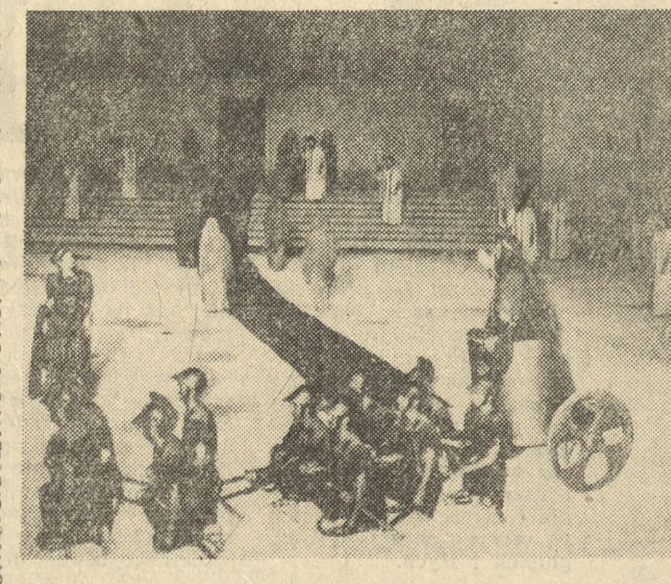
Oprac.:

W. Kor.

Co roku odbywa się w
Grecji czterotygodniowy
Festiwal Starożytnych Tra-
gedii i Komedii w słyn-
nym Teatrze Epidaurus —
największym w Grecji tea-
trze na wolnym powietrzu.
Teatr zbudowany na stoku
wzgórza słynie z doskona-
łych warunków akustycz-
nych. Ma on 14.000 miejsc.
Na Festiwal przybywają
widzowie z całego świata,
aby podziwiać starożytne
sztuki w świetnym wyko-
naniu Greckiego Teatru
Narodowego.

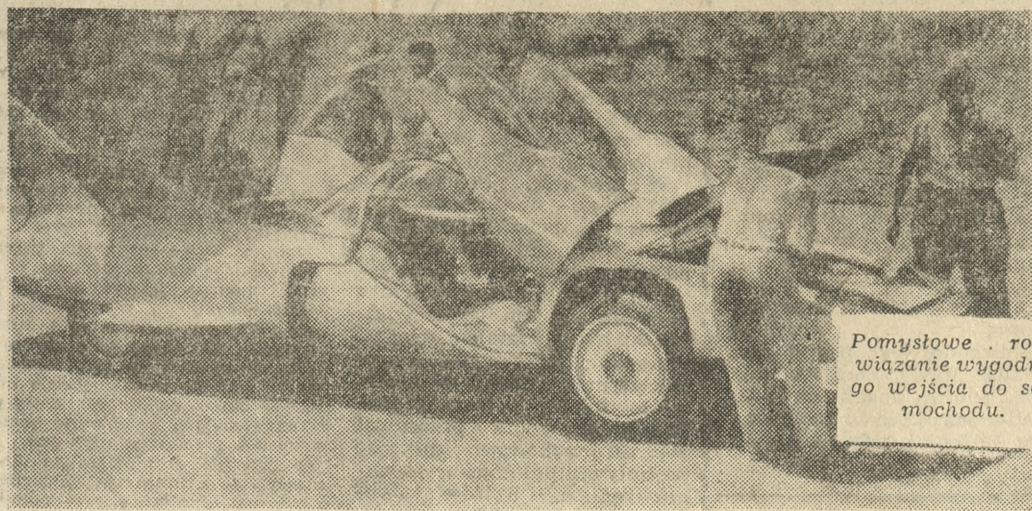
Festiwal tegoroczny za-
inaugurowany został „Ore-
steją” Ajschylosa. Oto sce-
na z tej sztuki. Klitemne-
stra (znana aktorka Anna
Synodinou) wita Agamem-
nona po jego zwycięskim
powrocie z Troi.

CAF



Pojedziemy Ognistym Ptakiem?

Jak wygląda najnowocześniejszy obecnie samochód świata? Ciekawy opis takiego samochodu relacjonujemy według „Horyzontów Techniki”.



Pomysłowe rozwiązanie wygodnego wejścia do samochodu.

Ognisty ptak czyli — mówiąc jego rodzinnym językiem — Firebird III ujrzał po raz pierwszy światło dzienne w jednej z fabryk amerykańskiego koncernu General Motors. Jego przyjęcie na świat w ubiegłym roku poprzedziły narodziły 37 braci, z których każdy młodszy doskonalszy był od starszego. Firebird III stanowi ostatnie słowo w dotychczasowej eksperymentalnej produkcji samochodów. Jego twórcy nie chcą bynajmniej swego Ognistego Ptaka wprowadzić do masowej produkcji. Firebird III jest samochodem eksperymentalnym, nowatorskim, jego konstrukcja wyprzedza o wiele lat aktualny stan produkcji. Niemniej skonstruowanie takiego super-nowoczesnego nie tylko pod względem wygody ale i bezpieczeństwa wozu — wpływa w jakiś sposób na produkcję masową.

Rozwiązania konstrukcyjne Firebird'a trzeciego graniczą niekiedy z fantazją. Posłuchajcie tylko:

Rewelacyjny jest już sam kształt tego wozu. Nadwozie jest bardzo niskie, najwyższy jego punkt — czyli wierzchołek kopułki z pleksiglasu ma 112 cm wys. Kształty karoserii są opływowe, ale zgodnie z wymogami najnowszych badań — ozdobione są tzw. statecznikami w postaci płetw, podobnych do samolotowego ogona czy skrzydeł. Nie są to zresztą tylko ozdoby, lecz — jak wskazuje nazwa — konstrukcje zwiększające stateczność wozu, która jest tym gorsza im nadwozie bardziej aerodynamiczne. Drzwi otwierają się — oczywiście automatycznie — w górę i w przód jednocześnie, tak że w momencie całkowitego otwarcia wystają zaledwie na 10 cm z boków wozu. Wraz z drzwiami unosi się przednia połowa kopuły z pleksiglasu, którą nakryte są oba siedzenia (patrz zdjęcie).

Nad siedzeniami zaś głowili się również nie tylko konstruktorzy, lecz także lekarze. Udowodnili oni że zmęczenie jazdą samochodem wywołane

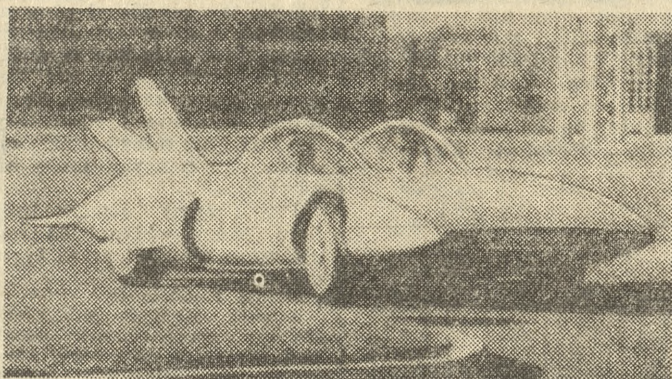
jest „koncentracja punktu widzenia”. Dlatego siedzenia Ognistego Ptaka skonstruowano tak, iż dźwigają równomiernie ciężar całego ciała, nawet podpierają je z boku, aby przy skrętach wozu nie przesunęły się. Siedzenia pokryte są gumą piankową, która umożliwia cyrkulację powietrza pod ciałem jadącego. Są także oczywiście dodatkowe oparcia dla głowy i stóp.

Tak wygląda Ognisty Ptak na zewnątrz. A jak pracuje jego serce?

Otóż Firebird III napędzany jest turbiną gazową, która zastępuje silnik tłokowy. Waży ona 270 kg a daje moc 225 KM, co jest stosunkiem znacznie lepszym niż przy silnikach tłokowych. Równie korzystne są jej wymiary: 818 mm dł., 604 mm wys. Do napędu różnych urządzeń po-



Przekrój podłużny samochodu Firebird, uwidoczniający rozmieszczenie najważniejszych agregatów.



Ptaka ognistego z przodu.

(dokończenie ze str. 1)

Interes panie dziejku szedł, że proszę patrzeć. Nie byłam taki sztywny jak urzędnicy po datkowi, którzy przyjmowali forsy tylko w narodowej walucie. Brałem wszystko, co dawali. Począwszy od rubli, na starych srebrnych monetach niewiadomego pochodzenia skończywszy.

Jak to się skończyło? Ano marnie. Dostałem półtora roku. Po wyjściu z kicia postanowiłem rzeczy świętych więcej się nie imać. Chociaż zajęcie było stosunkowo łatwe. I przyjemne. Tylko, że mnie przesładował pech.

ŻEBY KULA ZIEMSKA SIĘ NIE ZATARŁA

W tym czasie poznałem jednego magika, który też chodził po wsiach z fałszywymi papierami, tylko że on zbierał forsy na „oliwienie osi kuli ziemskiej”. Chodziliśmy jakiś czas razem. Też z papierami „ze starostwa”. Złe się skończyło, bo przytąpiali nas na gorącym uczynku. Jak to mówią — in flagranti. Jasne, że nie oliwiliśmy osi kuli ziemskiej. Było to w Bożejowicach koło Trembowli. Sprawa później nabrała takiego rozgłosu, że powtarzano ją sobie jako anegdotkę o naiwności ludzkiej. Ale to, panie dziejku, była prawda! Najoczywistsza prawda! Dostałem za nią pół roku.

Potem była okupacja. Wywieźli mnie do Niemiec na roboty. Dopiero po wojnie wróciłem do swego fachu. Zaczęłem od sprzedawania obrączek z 10-fenigówek. Tysiąc

Sprzedawałem miejsca w niebie

złoty za sztukę na starą walutę. Szły jak świeże bułki. Pan rozumie, ludzie się wtedy żenili, było zapotrzebowanie. Jednak rzuciłem. Za dużą konkurencją. Zaczęłem zbierać zamówienia na portrety ślubne. Nie potrzebuję panu chyba mówić, że ci, którzy mi dali pieniądze, nigdy tych zdjęć nie oglądali. Mnie też nie, to jasne. Może bym pozostał przy tym fachu na całe życie, ale w czterdziestym siódmym przylapali mnie koło Ostrowa. Kiblowałem za to kilka dobrych miesięcy.

W czasie odsiadki poznałem jednego takiego, przezywali go nie wiadomo dlaczego „Kłucha”. Przypadliśmy sobie do gustu. Był niedokończonym chemikiem. Ponieważ czas kary kończył nam się prawie równocześnie, postanowiliśmy spotkać się na wolności.

KUPUJ CIE TYLKO „ADONIS”

Dogadaliśmy się szybko. Na pierwszy ogień rzuciliśmy na rynek w ramach upowszechniania higieny osobistej „najlepszy, najdelikatniejszy szampon f-y Adonis”. W tym celu kolega chemik kupił przeszło sto paczek proszku do prania, jakieś farby i perfumy. Po zmieszaniu bez większego zabiegu otrzymaliśmy trzy gatunki szamponu: dla włosów

mocnych służy oddzielny, mały, dwucylindrowy silnik tłokowy, o pojemności zaledwie 328 cm sześć, dysponujący siłą 10 KM. Szczególnie pieczołowicie wypracowano również hamulce wozu, stosując odpowiedni surowiec, dodając specjalnie zabezpieczające urządzenia (np. zabezpieczenie przed zablokowaniem kół podczas hamowania).

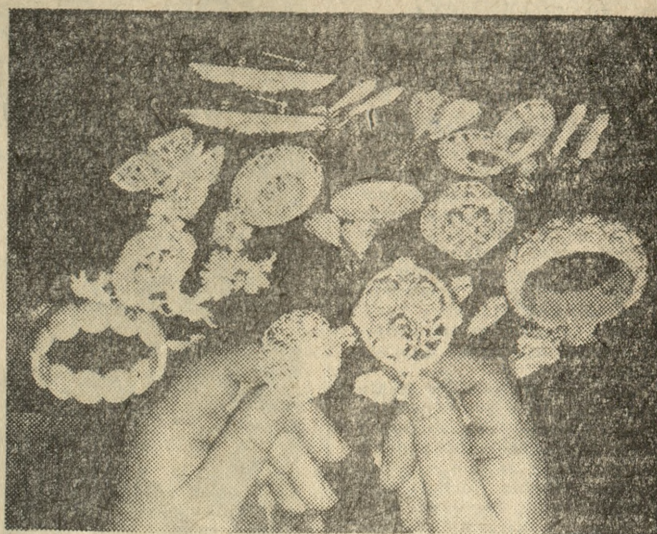
Nie trzeba chyba przy tym wszystkim dodawać iż Ognisty Ptak jest jak najbardziej zautomatyzowany, począwszy od... koła kierownicy, którego w tym wozie w ogóle nie ma! Zastępuje ją mała (10 cm dł.) dźwigienka, która przechylona na boki powoduje skręty kół przednich — przechylona zaś do tyłu lub przodu — zwiększa lub zmniejsza szybkość. Specjalne urządzenie pozwala na utrzymanie stałej, z góry założonej, szybkości jazdy. Firebird III może być zresztą nawet automatycznie kierowany — potrzebna do tego tylko odpowiednia autostrada wyposażona w kabel, stanowiący jakby niewidoczne szyny. Zmienny prąd przepływający przez kabel oddziałuje na urządzenie odbiorcze umieszczone w podwoziu.

Prócz tego Ognisty Ptak ma specjalny zegar startowy, który wprowadza wóz w „stan gotowości” o oznaczonej porze: jeśli kierowca nie przybędzie, po 20 min. samoczynne urządzenie wyłączy się i przywróci wóz do stanu początkowego. Inne urządzenie klimatyzacyjne utrzyma w wozie odpowiednią temperaturę, komórka fotoelektryczna, działająca pod wpływem światła nadjeżdżającego z przeciwnie strony pojazdu — zapali odpowiednie światło przy mijaniu, specjalna zaś tablica rozdzielcza wykaże przeciętną szybkość jazdy i awarię któregośkolwiek z agregatów.

I jeszcze jedno: kluczyk do stacyjki zastępuje zwykły... gwizdek ultradźwiękowy. Ot, stajesz obok wozu gwizdziesz jak na psa — a Ptak Ognisty otwiera przed tobą drzwi i uruchamia urządzenia pomocnicze. Taki wóz się może śnić po nocach!

Opr. KAJ.

P. S. Ognisty Ptak, Ognistym Ptakiem a my chętnie przejechalibyśmy się zwykłym własnym Fiacikiem — prawdziwym!



W Dawson City, głównym mieście Klondike, kraju „gorączki złota” sprzed lat 60-ciu, wyrabiana jest obecnie oryginalna biżuteria, stanowiąca kombinację dwojakiego rodzaju bogactw koryta rzeki — złota i kości mastodontów, które ongiś zamieszkiwały te tereny. Na zdjęciu: kilka próbek gotowej biżuterii.



A oto materiał, z którego powstają te piękne ozdoby. Kieł mastodonta ma ponad 2 m. i waży około 100 kg. CAF

się łamały. Prawdę powiedziawszy — psia robota. Powiedziałem więc: „Wiesz, Kłucha, zrobiliśmy trochę forsy, przestańmy, bo mi te kanty do żywego dożarły.”

„Masz rację. Zabierzemy się do czego innego. Zrobimy jeszcze tylko dwa, trzy występy, potem zwijamy kram.” Na kilka lat nam starczy. Może przez ten czas człowiek się jakoś ustabilizuje.” I zaczęliśmy produkować najlepszy środek do czyszczenia bielizny i odzieży.

CO TO BYŁO, DOKŁADNIE NIE WIEDZIAŁEM

Co to było, dokładnie nawet nie wiedziałem. Mieszanka zawierająca ług i jeszcze jakieś świństwa. Brud z tego schodził jak ta lala, ale materiał też się potem rozlatywał. Ludzie się po tym zabijali. Szampon w porównaniu z tym — to szczeniaki! Skusiliśmy się jeszcze na jedną partię, potem jeszcze na kilka. Za każdym razem obiecywałem sobie, że to już po raz ostatni. Pewnego razu przyjechaliśmy do małego miasteczka nad Odrą. Ludności było niewiele, ale kwatrowało za to dużo wojska. Rozkupili prawie cały towar. Ale jeden ordynans chciał się podliznąć swojemu szefowi i wyczyścił tym świństwem galowy mundur. Zrobiła się cholerna draka. Rozeszli za nami listy gończe, no i skończyło się Rawiczem.

Stefan Kłoch wychylił duszkiem ostatnią lampkę wina. — Tak, panie, bywały czasy. Nie te, co dziś... A. W. BADON

Papierosy bez szkody dla zdrowia

Znosi się na to, że szkodliwe działanie nikotyny na organizmy palaczy zostanie już wkrótce przezwyciężone przez filtry ze specjalnej porowatej stali, zademonstrowane ostatnio na Międzynarodowej Wystawie Chemicznej w Paryżu. Filtr ten, przepuszczając bez trudności dym, zatrzymuje jednakże cząsteczki nikotyny i innych substancji szkodliwych, poczynając od jednego mikro-na wielkości, a zatem praktycznie niemal w 100 procentach. Jeżeli znajdują one rzeczywiście masowe zastosowanie przy wyrobie papierosów ustnikowych i cygarniczek — palenie stanie się przyjemnością naprawdę niewinną. (hj) (AFI)

INTERWJU **HISTORIA** **ciekawostki** **ALGULI**

NEKLA — dawniej pow. Sroda, dziś pow. Września. Pierwsze uwagi do tej miejscowości pochodzą z r. 1435, kiedy to wia dał nią niejaki Piotr. W XVI i XVII wieku już nosiła godność miasta. W XVI wieku wia dali nią Grudzińscy, potem Zdychowscy, Skalańscy, Wilkońscy i ostatnio Zółkowscy. W r. 1703 wojewoda poznański, a później król Stanisław Leszczyński do chrztu podawał Stasia, syna Franciszka Skalańskiego.

Mało już kto wie, że Nekla jest związana z Twardowskim. Podanie ludowe, zapisane przed pół wiekiem „Sagen der Provinz Posen”, mówi, że tędy z Poznania do Gniezna jechał nasz czarnoksiężnik, Pacholek. Kiedy stanął w karczmie „Wygodna”, Pacholek powiedział, że dalej przez bagna nie można jechać. Ale Twardowski postanowił podróż kontynuować. Wychylił się z powozu i gwizdnął. Zleciała się natychmiast chmura diabłów, którym rozkazał usypać grobie.

A po prawdzie grobie usypali ludzie, bo można było tam utonąć z wozem nawet w czasie suszy. Nie ma już śladu po karczmie, która później stała się spelunką różnego rodzaju rabusiów i hultajów.

Nie wiem, jaką legendą owiane są „Diabie sakiewki”, znajdujące się gdzieś na końcu wspomnianej grobli. A może ta grobla spełniała też inne funkcje? Kto wie, niech napisze.

(jp)



Znaczki o tematyce sportowej stanowią lwia część emisji pocztowych. Każde państwo uważa bowiem za stosowne wydać przynajmniej raz w roku serię znaczków sportowych.

Najbardziej popularnymi w dawnictwami z tego zakresu są oczywiście, znaczki olimpijskie. Zbiór znaczków, poświę-



cony olimpiadom, trudno już dzisiaj zmieścić w pękatym albumie. Wystarczy powiedzieć, że sama Dominika (którą trudno chyba posadzać o większe ambicje sportowe!), wydała już 4 serie na cześć Olimpiady w Melbourne. Nie chcemy tu, oczywiście, mówić o wszystkich znaczkach ciętych, blokach i przedrukach „olimpijskich” — popularizowanych przez ten maleński kraik.

We Włoszech i San Marino ukazują się już znaczki z okazji następnych igrzysk. Reprodukujemy znaczek z portretem p. De Coubertina — twórcy nowoczesnych olimpiad.

mgr L. K.



COŚ DLA ŚPIOCHÓW

Łóżko, które budzi śpiącego, można było obejrzeć na Międzynarodowej Wystawie Mebli w Chicago. Sprężyny łóżka połączone są z zegarkiem-odbiornikiem radiowym. Po nadejściu właściwej godziny, zegar nastawia radio, a sprężyny delikatnie, lecz stanowczo unoszą śpiącego do pozycji siedzącej.

Fot. — CAF



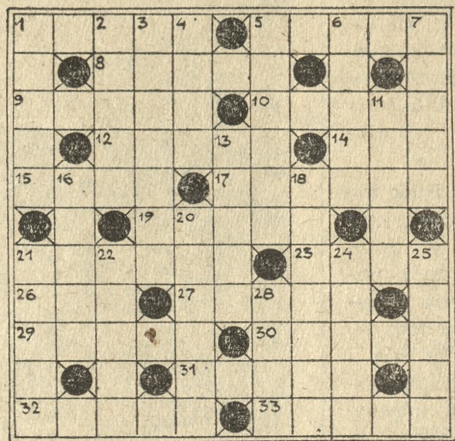
78 koni mechanicznych w jednej ręce

Największą sensacją sportową ostatnich tygodni stał się 24-letni szwedzki pięściarz Johansson, który w walce o tytuł „mistrza wszech wag” znokautował Pattersona (USA). Oto Johansson podczas próby innego rodzaju: w Goeteborgu zbudowano mur i porobiono zakłady, czy Johansson potrafi rozbić go jednym uderzeniem. Wynik widzicie na zdjęciu, które zamieszczamy za „Panoramą”.

Jak obliczono, jego prawa ręka posiadała siłę 78 koni mechanicznych, której Johansson potrafi nadać szybkość 50 km/godz. Z takim — lepiej z daleka...

KRZYŻÓWKA

ul. LAR, Poznań



POZIOMO: 1 — angielska miara długości, 5 — sztuczność słowa, 8 — hasło, 9 — roleta, 10 — flirt, 12 — chodak na drewnianej podszewie, 14 — imię Sobieskiego, 15 — tytuł głośnej powieści Faulknera, 17 — rewia wojskowa, 18 — imię żeńskie, 21 — przysłona na lampę, 23 — paliwo, 26 — instrument opisany w „Panu Tadeuszu”, 27 — rupieciarnia, 28 — pokłask, 30 — uosobienie dobroci, 31 — pracuje w skafandrze, 32 — widma, 33 — rysa.

PIONOWO: 1 — okres obrad sejmowych, 2 — zwierzęta futerkowe, 3 — porażenie, 4 — koń szlachetnej rasy, 5 — ozdoba parków, 6 — miasto opisane w „Iliadzie”, 7 — unieruchamiania złamań kończyn, 11 — urządzenie nawigacyjne, 13 — dramat muzyczny, 16 — grabież, 18 — wybawienie, 20 — zwój papieru, 21 — kawon, 22 — kwiaty nie tylko raz w życiu, 24 — drzewo o drżących liściach, 25 — załamek u sukni, 28 — Ares.

Rozwiązania z dopiskiem „Krzyżówka” prosimy nadsyłać do dnia 18 bm.



Ten pan na zdjęciu odbył skromny 27-kilometrowy spacer po linie nad cieśniną z Malmö do Kopenhagi. Jest to „król liny”, Allan Lundberg z Averta w Szwecji, a spacer odbył, by wygrać zakład ze swym rywalem Niemcem Ricardo Schneiderem.

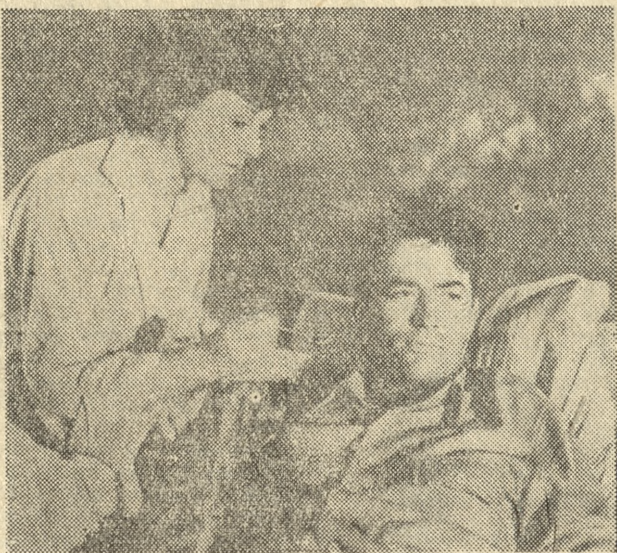
CAF

Jak długo żyją zwierzęta?

Szczupak i karp mogą dożyć do 100 lat. Również słoń może obcho dzić swoje 100 urodziny. Zółwie i papugi mogą żyć nawet dłużej.

Ale — z drugiej strony — chrabaszcz nie żyje więcej niż 6 tygodni. Mucha domowa dokuca nam 4 miesiące, jeśli przed tym nie poćknie jej żaba, która żyje normalnie 15 lat. Przeciętna długość życia motyla wynosi 2 miesiące, a mrówki — rok. Zając żyje od 6 do 10 lat, tak samo baran i żmija. Słownik i wilk osiągają 12, kot 15 a pies — od 10 do 25 lat. Szczyciel może radować się na tym świecie do 18 lat, wół 25 lat, koń od 20 do 30 lat, jeleni i wielbłąd od 35 do 40 lat, orangutan i salamandra 40 lat, czapla i lew do 50 lat, a gawron nawet do 80 lat. (tb)

— A ten, to niestety, czarna owca w rodzinie. Został policjantem...



„Śniegi Kilimandżaro” — jedno z niezapomnianych opowiadań Hemingwaya. U stóp tajemniczej góry Kilimandżaro walczy ze śmiercią młody pisarz i podróżnik Harry Street. Głupie, zlekceważone zastraszanie kolana zmieniło się w groźną, zgan grenowaną ranę. Samolot, który mógłby go uratować, nie nadlatuje. Harry wie, że to już koniec i wspomina całe swoje niedorzeczne, nie wypełnione niczym i nie spełnione życie. W te wspomnienia — reżyser filmu Henryk King wplotł wiele wątków z różnych dzieł Hemingwaya, odtwarzając osobliwy klimat twórczości tego pisarza. Grają: Ava Gardner i Gregory Peck (dziennikarz z „Rzymskich Wąkacji”).

FANTAZJA **CZY RZECZYWISTOŚĆ?**

Opracował: A. TREPKA

A U NAS?

Przytaczane dotychczas obserwacje odnosiły się głównie do Stanów Zjednoczonych. Czyżby u nas w Polsce tego rodzaju obserwacji nie było? Przeciwnie.

W niedzielę, 10 listopada 1957 roku, na ulicach miasteczka Skaryszew (powiat Radom) wielu ludzi wskazywało na południową stronę nieba. Na tle bladego zimowego błękitu odcinało się tam jakieś wielkie ciało w kształcie cygara. Świeciło jaskrawym żółtobiałym blaskiem, od spodu miało barwę pomarańczową. Przedmiot wolno przesuwając się ku zachodowi, znikając po upływie pół godziny za widnokręgiem. Relacje kilkudziesięciu świadków pokrywają się w szczegółach.

23 stycznia 1958 roku Jerzy Barwiński zmierzał do stacji kolejowej w Swarzędzu, skąd codzień dojeżdża do Poznania. Nagle na północnym wschodzie, ponad horyzontem zauważył dziwny obłoczek, do skonałe widoczny, gdyż fosforował seledynowym blaskiem. Panował jeszcze mrok — zegarek wskazywał godzinę 6.27. Wkrótce środek chmurki rozbił się na silnym zielonym światłem. Obłoczek zaczął zmieniać barwę: gdy stał się ciemnowiśniowy, można było wyraźnie zauważyć na jego tle ostro zarysowany owalny przedmiot. Po chwili obłoczek jak gdyby gwałtownie odskoczył, a z owalnego obłoku wydobyła się wiśniowa smuga przypominająca warokocze. Potem rozbiła się jaskrawa iskra, która zatoczyła krąg wokół tajemniczego obiektu i całe zjawisko raptownie zniknęło.

Obserwacja trwała 5 min. i została potwierdzona przez kilku innych świadków J. Barwiński tak zakończył pisemne oświadczenie o zauważonym fenomenie: „Nie wierzę w latające talerze, w czasie śledzenia zjawiska byłem absolutnie wyspany i wypoczęty, nie piję i nie mieszm przywidzeń, astronautyka mnie nie pasjonuje.”

Przytoczmy jeszcze treść listu, który wpłynął do red. „Nowego Świata” przed tygodniem:

„Panie Redaktorze! W serii artykułów pt. „Fantazja czy rzeczywistość?” podaje Pan nie tylko obserwacje dotyczące tzw. latających talerzy, ale i inne niewyjaśnione fakty z dziedziny „napowietrznej”. Chciałbym do nich dorzucić jeszcze jeden, dla którego ani rusz nie znajduję wyjaśnienia.

W niedzielę, 17 września 1939 r., a więc przed blisko 20 laty, znalazłem się wraz z żoną w wiosce, której nazwy nie możemy sobie przypomnieć, gdzieś między Sochaczewem a Żyrardowem, 3-5 km na południowy zachód od

Miedniewic. Przebywaliśmy tam od 2 dni u gospodarza Smigiera; oprócz nas z Poznania był tam kwestor UAM, p. Aleksander Popowski, dr Zbigniew Zawirski, który zmarł przed kilku laty, wraz z żoną, a także uciekinierzy z innych stron, a mianowicie 60-letni lekarz z Plocka (nazwiska nie pamiętam) z żoną i dwie młode nau czycielki z Sochaczewa.

Okolica była już zajęta przez Niemców, jednak pojedyncze oddziały polskie jeszcze się tu i ówdzie broniły, z różnych stron było słychać strzelaninę i huk artylerii. W Miedniewicach hitlerowcy założyli już lotnisko polowe i właśnie w tę niedzielę od samego rana na niebie krążyły eskadry po 7-9 samolotów bombowych i kręciły się myśliwce.

O godzinie 17.00 państwo Zawirscy, moja żona i ja siedzieliśmy w małej altance przy domu, podczas gdy lekarz z Plocka z żoną i obie nauczycielki stały w odległości kilku metrów przy furtce prowadzącej na wiejską drogę. W pewnym momencie cała ta czwórka wydała okrzyki zdziwienia, a jedna z nauczycielek pobiegła w naszą stronę, wołając: „Chodźcie państwo zobaczyć! Samoloty stoją w powietrzu!” Podbiegliśmy do furtki i spostrzegliśmy rzeczywiście eskadrę niemieckich 7 bombowców tkwiących nieruchomo na niebie, zwrócone w kierunku zachodnim. Niebo było pogodne, tylko tu i ówdzie były luźne pasemka wysokich chmur. Powietrze było czyste, wiał lekki wiatr zachodni, widoczność była doskonała. Po upływie kilku sekund kontury maszyn zaczęły się zacierać, w ciągu około pół minuty zamieniły się w kuliste obłoczki burego dymu i powoli zaczęły z wiatrem płynąć w kierunku wschodnim, aż się zupełnie rozplynęły w powietrzu.

Byliśmy wszyscy w najwyższym stopniu zdumieni. Osoby, które wtedy stały przy furtce, powiedziały, że eskadra hitlerowska nadlatywała normalnym lotem, aż nagle zatrzymała się w powietrzu, jakby napotkała na niewidzialną przeszkodę, albo — jak się ktoś wyraził, „jakby samoloty zostały szpilekami przypięte do nieba”. To samo zaobserwowali gospodarze.

19. 9. posłaliśmy z dr. Zawirskim do Woli Szydłowieckiej, w której poprzednio przebywaliśmy, dla zabrania kilku rzeczy pozostawionych tam u gospodarza Maciągiewicza. Tuż przed wsią spotkaliśmy sołtysa, który rozmowę rozpoczął od razu od wzmianki o podobnym wypadku. Relację jego potwierdził drugi chłop, który nadszedł w czasie naszej rozmowy, a nieco później oboje Maciągiewiczowie. Wszyscy twierdzili, że cała wieś po obiedzie stała przed domami, obserwując nieustannie przeloty samolotów i widziała, jak w kierunku wsi Ruda leciała eskadra 9 samolotów, nad nimi przeleciał niezmiernie szybko inny samolot i je spałł. Szcze gółowe nasze pytania wykazały, że przebieg był identyczny, jak w wypadku obserwowanym przez nas. Dodam, że ani tu, ani tam nie widziano lotników wyskakujących na spadochronach.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

mgr St. Gibasiewicz
Kórnik.”

Odwieczny problem młodego, stojącego u progu życia człowieka: jak żyć? co wybrać? Czy poświęcić się szczytnym ideałom, czy też po prostu dać się unieść prądowi, niosącemu łagodnie i bez wstrząsów ku karierze, dobrobytowi? Świeżo upieczony lekarz Wołodia Ustimienko wybiera tę pierwszą drogę, ale traci przez to swe szczęście osobiste — traci miłość ukochanej. Czy mimo tego jest ze swego życia zadowolony? Odpowiada na to radziecyy twór cy ciekawie zapowiadającego się psychologicznego filmu pt. „Mój ukochany”. W rolach głównych Aleksiej Batalow (Wołodia) i Illa Makarowa, reżyseria — J. Chejlica.

